

**8 kwietnia 2001 rok.** Żegnam się ze Staines. To małe miasteczko niedaleko od Londynu, w którym przyszło mi mieszkać od 1997 roku. Teraz znam je doskonale.

Idę wzdłuż ulicy Gresham Road. Na rogu jest pralnia, potem wiadukt, a po lewej, wzdłuż, płynie Tamiza. Następnie przechodzę pod wiaduktem i mijam luksusowy sklep Debenhams. Tuż za zakrętem jest ulica High Street. Ulica o takiej nazwie jest w każdym mieście. Znajduje się na niej mnóstwo małych sklepików, apteki, banki. Obeszłam już wszystko dookoła. Pewnie nigdy tu nie przyjadę, bo nie mam już po co. Bardzo mi przykro z powodu tego nieplanowanego wyjazdu. Żal mi nie tylko tego miasta, ale i Paula, bo skończył 109 lat – wieczny jednak nie będzie.

Z każdym dniem widać, jak postępuje u niego demencja, ale nie mogę... Nie mogę już dłużej wytrzymać z jego córką. Jak to mawia Paul: „Nie mogą być w domu dwie gospodynie – któraś musi ustąpić”.

Gra jednak jest warta wiele tysięcy funtów, które Lucy i tak dostanie, bo przecież jest córką.

Wróciłam do domu Paula. Powoli idę na górę dokończyć się pakować. Maria (nasza pomoc domowa) płacze za mną i Brian (masażysta) też nie jest zadowolony. Obydwoje mówią, że jak nie wrócę w ciągu miesiąca, to rezygnują z pracy u Paula. Czyżby u schyłku życia miał zostać całkiem sam?

Paul śpi. Lucy nie pofatygowała się, aby mnie pożegnać. Na stację odwiezie mnie Fred, ponieważ John (kierowca) jest niechętny.

W nocy oboje nie spaliśmy. Paul zapytał, czy wrócę, a ja ani nie zaprzeczyłam, ani nie potwierdziłam, ale Paul wiedział, że nie wrócę – on to czuł. Nie wiem jak, ale czuł. Płakał jak dziecko przez dwie godziny, a ja razem z nim. Potem zasnął. Pękało mi serce z bólu.

Rano wstałam o szóstej i Paul też wstał. Zależało mu na tym,

by godnie mnie pożegnać. Pomogłam mu się ubrać i zesłiśmy na dół.

Tam czekał już John, któremu Lucy kazała być obecnym przy pożegnaniu. O godzinie ósmej przyjechał Fred. Paul podniósł się ze swojego fotela, w którym zwykle siadał, choć wstawanie sprawiało mu wiele trudu. Pocałował mnie w rękę, a potem w czoło i przycisnął do piersi. Po jego policzkach spływały łzy. Zauważyłam, że nawet John poczuł się nieswojo i mimo że się na mnie gniewał, powiedział mi: „do widzenia”. Niestety, czas wyjazdu nadszedł.

Wracałam autobusem, chciałam ostatni raz podziwiać piękny krajobraz Anglii. Nie planuję powrotu. Fred odwiózł mnie na Victoria Station i pomógł zapakować się do autobusu. Całą drogę do Krakowa było mi bardzo smutno. W autobusie nie zmrużyłam oka. Przypominałam sobie, jak to się stało, że znalazłam się u Paula i jaki bagaż doświadczeń od niego wynoszę.

Był czerwiec 1997 roku. Jak co rano zasiadłam do śniadania z gazetą w rękę. Jestem świadoma, że to nie jest zdrowe, ale tak właśnie lubię. Staram się jednak nie robić tego często, według zasady „primum non nocere” – nie szkodzę sobie. Piję czarną kawę zbożową, bo innej nie mogę ze względu na wysokie ciśnienie. Po przeczytaniu szczegółowo gazety przeszłam do ogłoszeń. Jestem na rencie – nie powodzi mi się dobrze, szukam jakiegoś zajęcia, ale czy znajdę? Nie wiem. Teraz pracodawca ma wymogi: pracownik ma znać dwa języki, mieć około dwudziestu lat i doświadczenie. Zastanawiam się, kiedy ta panna, która skończyła osiemnaście czy te dwadzieścia lat, miała zdobyć doświadczenie, skoro większość czasu poświęca nauce. Gdybym jednak teraz miała te osiemnaście lat, to i tak nie miałabym szans na dobrą pracę. Cóż z tego, że miałam ambicje, skoro system wręcz zabraniał nauki języków obcych oprócz rosyjskiego, a o komputerach nie było w ogóle mowy. No i nie byłam doświadczona zupełnie.

Nic nie znalazłam w zwykłych ogłoszeniach, ale w ekspresowych rzuciło mi się w oczy kilka wartych zainteresowania linijek: „Pan z Anglii, który będzie przejazdem jeden dzień w Krakowie, poszuku-

je opiekunki” – i tu numer telefonu do hotelu, w którym przebywa. Nie miałam i nie mam szczęścia, ale postanowiłam zaryzykować.

O pomoc poprosiłam moją osiemnastoletnią córkę, Annę. Najpierw zadzwoniłyśmy do hotelu, aby potwierdzić, czy taka osoba faktycznie tam przebywa. Recepcjonistka potwierdziła, że ten pan już od ósmej rano przyjmuje na *interview*, a była już dwunasta, zatem musiałyśmy się spieszyć. Trzeba dojechać do Swoszowic. Swoszowice to miejscowość pod Krakowem. Zanim przejedzie się Kraków i dojedzie bussem, to zajmie jakieś dwie godziny, a potencjalny pracodawca wyjeżdża o piętnastej.

Zabrałam ze sobą córkę, nie na wabia (choć młoda i piękna), ale dla swojego bezpieczeństwa, no i zna angielski. Było bardzo gorąco. Z trudem pokonałyśmy tę drogę. Jak tylko pojawiłyśmy się w hotelu, recepcjonistka skierowała nas do pokoju Anglika. Powiedziała, że jest zadowolona z wyjazdu tego pana, bo ma już dość niekończących się wycieczek kobiet. Zrobiło mi się trochę głupio, ale pomyślałam, że skoro już tu jestem, to wysłucham propozycji pracy.

Zapukałam i usłyszałam: „proszę”.

Otworzyłam drzwi i przy stoliku zobaczyłam bardzo starego mężczyznę. Włosy miał siwe, ale postawę prostą. Wyglądał na osiemdziesięcioletniego uczciwego staruszka. Na stoliku leżał kalendarz i lupa. Przywitał się z nami i przeprosił, że musiałyśmy tak daleko jechać. Wytłumaczył, że to nie jego wina. Po prostu nie mógł wynająć bliżej hotelu. Powiedział też, że jedzie z Pragi i że nie znalazł tam opiekunki. Postanowił zatrzymać się w Krakowie. Mówił po polsku. Przez całą rozmowę patrzył na moją córkę, a nie na mnie. Ale to nie ona przyszła w tej sprawie. Powiedziałam, że córka mi towarzyszy. Przecież to logiczne, że posłanie tak młodej dziewczyny do takiego starego człowieka to wręcz szaleństwo. Pan poprosił, aby wpisać się do kalendarza. Nie zabrałam ze sobą okularów, a poza tym mam trudne do odczytania pismo, zatem zrobiła to za mnie Anka. Pożegnaliśmy się i odjechaliśmy do domu.

Czas upływał, a odpowiedzi nie było.

Zrozumiałam, że nie ma co sobie zawracać głowy, i zapomniałam o całej sprawie.

Wrzesień 1997 roku był bardzo piękny i ciepły. Październik zapowiadał się taki sam (tak mówiły prognozy). Ja jak zwykle miałam nowe zmartwienie, a mianowicie sąsiadka załała nam sufit. Zalewała nas niemal regularnie co dwa dni. I w dodatku była niezadowolona, że śmiem zwrócić jej uwagę. Zapewniła mnie jednak, że usunie tę usterkę, jak tylko jej mąż wróci. A mąż na saksach w Austrii i kto to wie, kiedy będzie z powrotem. Myślałam, co z tym zrobić. Z zadumy wyrwał mnie dzwonek telefonu. Podniosłam słuchawkę, a w telefonie usłyszałam głos pana z Anglii. Przedstawił się. Powiedział, że na nazywa się Paul Napoleon R., że mieszka w Anglii, w Staines, że jest samotny i szuka opiekunki. Miał kilka osób, ale po rozmowie doszedł do wniosku, że nie może żadnej z tych pań, co ma zapisane w kalendarzu, wybrać. Ja jestem już jako ostatnia i chce mnie zaprosić bez zobowiązań na dwa tygodnie. Pokrywa koszty przejazdu w jedną stronę. Pomyślałam, że to bardzo dziwne, bo niby czemu nie w dwie strony. Paul obiecał, że zadzwoni za tydzień i poda więcej szczegółów, jak się zdecyduje. Ja również powiedziałam, że się zastanowię. W sumie to ja nie mam pieniędzy na takie wycieczki i jak tu zaufać człowiekowi, którego się nie zna.

Upłynął tydzień, a telefonu jak nie było, tak nie ma. A może zapomniał albo się wycofał? A może już kogoś wybrał innego? Sama nie wiem, czy bardziej liczyłam na to, że mnie to ominie, czy po prostu poddałam się, licząc na Opatrzność. Wyglądało na to, że sprawa rozwiązała się sama. Ale starszy pan zadzwonił po dwóch tygodniach z zapytaniem, czy się zdecydowałam, bo musi napisać do mnie list z zaproszeniem. Zaproszenie i zagwarantowanie mieszkania było wówczas wręcz wymagane, by bez problemu przedostać się do Anglii. Paul powiedział, żebym kupiła bilet „open”, czyli otwarty, ważny na okres trzech miesięcy. Będę mogła wówczas zadzwonić w każdej chwili i zarezerwować miejsce w autobusie w drogę powrotną. Jak się zdecyduję i będę miała jakieś pytania do niego, mam wykręcić jego numer, poczekać trzy sygnały i odłożyć – będzie wiedział, że to dzwonię ja, i oddzwoni.

Sama nie wiem, co robić... Chyba się zdecyduję. Co prawda wakacje się skończyły, ale ja mam już stale wakacje. Może coś mi się w życiu należy, a nie stale pranie, prasowanie, gotowanie, robienie

zakupów. Dość wystąpiłam się w kolejkach za czasów PRL-u. Tak się nakręcałam i nakręcałam, aż wreszcie zdecydowałam, że pojedę, i choć jest to koniec września, to zrobię sobie wakacje – pewien rodzaj odskoczni od codzienności. Zadzwoiłam według podanej wcześniej instrukcji. Powiedziałam, że wyrażam zgodę na wyjazd na dwa tygodnie bez zobowiązań.

A później wszystko potoczyło się szybko i sprawnie. Zaraz dostałam list z zaproszeniem. Kupiłam bilet na autobus i... w drogę.

22 września 1997 roku po dwudziestu czterech godzinach jazdy autokarem przekroczyłam granicę angielską. Jechaliśmy przez Niemcy, Belgię, Holandię, Francję. Następnie promem Calais–Dover. Tam na granicy rozprawili się z nami angielscy celnicy. Każdy Polak był rejestrowany i sprawdzany. Pytany, na ile jedzie i jak długo zostanie. Ile ma pieniędzy. Kto zaprasza i kim ta osoba jest? Musiałam wyjaśnić, kim jest dla mnie Paul Napoleon R. Jeśli ktoś nie radził sobie zbyt dobrze z językiem angielskim, wzywano tłumacza lub pomagała pilotka z autokaru, co przyspieszało całą odprawę paszportową. Dwie osoby nie przejechały. Zostały w Dover. Mnie się udało. Natychmiast zadzwoniłam do Paula, aby poinformować go, że już przekroczyłam granicę. Powiedział, że wysyła po mnie kierowcę oraz że się bardzo cieszy z mojego przyjazdu. Do Londynu nie było daleko – jakieś dwie godziny drogi.

Obserwowałam widoki już angielskie: na poboczach pasło się tyśiące owiec i powiewał lekki wiaterek. Zieleń trawy jest inna i trawa nie rośnie taka wysoka. Pewnie jest to inny gatunek. Zresztą Anglicy dbają o trawę, ciągle ją koszą i w zasadzie nie ma czasu, aby wyrosnąć.

Na Victoria Station autobus przyjechał o czternastej. Wszyscy się porozchodzili, a ja zostałam sama. Zaskoczyło mnie to, ponieważ po to dzwoniłam z granicy, aby kierowca się przygotował. Nie bardzo znam język i nie wiem, w którą pójść stronę. Rozglądnęłam się i dostrzegłam budkę telefoniczną. Zadzwoiłam do Paula. Tłumaczył, że jest korek i że pewnie zaraz kierowca będzie. Owszem przyjechał... zaraz... jakieś dwie godziny później. Poznałam go, ponieważ pod pachą niósł wielką kartkę z napisanym imieniem

OLA. Nie musiał wyciągać, bo już nikogo nie było oprócz mnie. John, bo tak się przedstawił, zabrał moją walizkę. Była bardzo ciężka. Sama nie wiem, po co nabrałam tyle rzeczy na zaledwie dwa tygodnie.

Dojazd do Staines zajął nam jakieś dwie godziny. Zdażyłam zobaczyć Londyn przez szybę jadącego samochodu. Widziałam Most Londyński, zaśmiecone ulice i trawniki pełne kwiatów.

John nie okazał się zbyt rozmowny, a ja byłam zmęczona.

Zajechaliśmy. Paul opowiadał mi przez telefon, że mieszka w najbogatszej dzielnicy, a jego dom wygląda jak pałac. W rzeczywistości jednak niczym się ten dom nie wyróżniał. Zwykła kwadratowa bryła, dwa okna na górze, jedno większe na dole i drzwi. Wszystkie okna miały zielone okiennice. Typowe angielskie budownictwo. Zaniedbany, lecz trawa krótko ścięta. John miał klucz, więc otworzył drzwi i weszliśmy do przedpokoju. W przedpokoju wisiało piękne kryształowe lustro, a pod nim stał ładny marmurowy stolik. Wzrok mój przykuły schody prowadzące na górę. Wykładzina na schodach była bordowa – stara i podarta. W całym domu panował zaduch.

W drzwiach pojawił się mężczyzna w garniturze, pod krawatem. To był Paul. Uśmiechnął się do mnie i przedstawił towarzyszącą mu szczupłą kobietę – to Barbara. Powiedziała, aby zwracać się do niej „Jagoda”. Gospodarz poprosił, żebym zdjęła płaszcz, i zaprosił mnie do umycia rąk, a następnie do stołu. Myjąc ręce w ubikacji na dole (Anglicy nie mają w większości toalet na dole), usłyszałam, że Paul mówi do Jagody: „to nie ta”. Domyśliłam się, że chodzi mu o mnie, o to, że nie ta osoba przyjechała, co powinna. Niemniej jednak zachowywał się poprawnie, jak gdyby nic się nie stało. Zasiadliśmy do stołu na kolację. Jagoda nam usługiwała, bo (jak się dowiedziałam) to był jej czas pracy. Kolacja była wyśmienita: kura nadziewaną pomarańczą (bardzo smaczna), dwie jarzyny, kartofelki. Do obiadu było wino czerwone, a do deseru – białe. Paul bardzo był zainteresowany nowinami z Polski. Jak już skończyłam opowiadać, mówił on, a ja przyglądałam się pokojowi. Wszystko w tym domu było stare. Ja lubię starocie (antyki), ale tu sprzęty były zniszczone i zużyte. Fotele wysiedziane i podarte, stara

kanapa, ława, biurko, stół i pod ścianą dwa małe stoliki, na których leżały słodkości i leki. W kącie – lampa stojąca. Dwa dywany pokrywały podłogę, a pamiętały pewnie pierwszą wojnę światową. Biesiadowaliśmy aż do dwudziestej pierwszej, bo o tej godzinie Paul oglądał wiadomości w telewizji.

O dwudziestej drugiej wyszła Jagoda. Spokojna, że nic mi już nie zagraża, usiadłam na kanapie obok i czekałam na chwilę, gdy zostaną zaprowadzona do swojego pokoju, by móc położyć się spać. Paul był bardzo zmęczony i nie oglądał dziennika, tylko spał, a ja czekałam, aż się obudzi.

Gdy starszy pan się przebudził, poszliśmy na górę do sypialni. Okazało się, że ja nie mam osobnej sypialni, bo choć są dwa pokoje na górze (i łazienka) to jeden, ten mniejszy, zajmuje córka. Rzadko przychodzi, ale jak już jest, to w nim nocuje i nie życzy sobie, żeby ktoś korzystał z jej pokoju. W sypialni Paula były dwa łóżka – każde inne, dwie szafki nocne, na nich lampki. I na całej ścianie szafy, stare firanki i zasłony. Łazienka wyłożona czarnymi flizami (w czym nie gustuję, ale nie u mnie i nie moja). Najważniejsze, że była umywalka, toaleta, wanna i dużo szczoteczek do zębów w szklance. Pomyślałam, że pewnie zostały po paniach, które tu przebywały. Paul poszedł do łazienki po mnie i siedział tam pewnie długo.

Byłam zmęczona po podróży. Nie spałam w autokarze, dlatego też odświeżyłam się i od razu usnęłam. Nie miałam czasu zastanowić się, czy zrobiłam dobrze czy źle, że tu przyjechałam.

Gdy obudziłam się rano, Paul leżał koło mnie – a właściwie raczej siedział – opierając się o siedem poduszek. Powiedział, że spędził trochę czasu w łazience i że jak przyszedł, to ja spałam. Domyślił się, że jestem zmęczona po podróży i nie chciał mnie budzić. Odpowiedziałam, że jak jestem zmęczona, to chrapię. Paul stwierdził, że mruczał jakiś kotek koło niego, ale nie słyszał, aby ktoś chrapał. Poinformował mnie jeszcze, że wstajemy o siódmej, bo on tak wstaje. Poprosił mnie, żebym pomogła mu się ubrać. Następnie w łazience ubrałam się ja i obydwójce zeszliśmy do *living-room*. Tam już czekał na nas z gazetą w ręce John i... przygotowane śniadanie. Usiedliśmy do śniadania, a John po krótkiej konwersacji, której nie rozumiałam do końca, odjechał. Widziałam jego auto

z okna w pokoju. Powoli jedliśmy śniadanie, opowiadając sobie przy tym anegdoty. Było bardzo wesoło. Paul powiedział mi, kogo mogę wpuścić do domu – na tej „lišcie” była Gasi. Gasi sprzątała u Paula. Jagoda natomiast przychodziła po południu i gotowała. John ma klucz do drzwi, więc wchodzi sam. Do jego obowiązków należy przynieść gazetę, jechać samochodem, jeśli zachodzi taka potrzeba, oraz przygotować śniadanie. Mogę wpuścić jeszcze inkasenta do prądu i gazu oraz panią do kąpieli, która przychodzi w czwartki. Od czasu do czasu przychodzi też sąsiadka, ale się zapowiada lub puka w okno. Córka nie przychodzi na razie.

Na śniadanie mieliśmy jajko, kosztowny ser, grapefruita i sok z pomarańczy. Do tego tost i masło. Paul pił kawę, a ja herbatę. Podczas śniadania Paul powiedział, że na ławie stoi radio, które kupił dla mnie, żebyśmy razem słuchali nagrań, na przykład Chopina, które ja tak lubię i on także. Miałam zapoznać się z instrukcją obsługi radia. Po śniadaniu Paul zawsze szedł usiąść w swoim fotelu, szedł trzymając się stołu i biurka. Widać było, że chodzenie sprawia mu dużo trudności. Jak już pokonał tę drogę, usiadł i czytał gazetę, ja siedziałam obok i przeglądałam instrukcję. Nagle patrzę, a Paul śpi.

O dziesiątej ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłam. Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem tak, jakbym co najmniej ją zdetronizowała. Miała na imię Gasi i była Hinduską. Posprzątała, a następnie zrobiła nam doskonały lunch, składający się z samych jarzyn: papryki w oliwie, pomidorów, ogórków i bakłażanów. Wszystko przez nią robione i specjalnie przyprawione przez Paula. Gasi dosłownie każdego dnia dopytywała się, kiedy jadę do domu, a ja się nie wybierałam.

Po południu przysłała Jagoda. Jagoda była Polką i cieszyłam się, bo miło jest spotkać rodaka na obczyźnie. Mogłyśmy trochę poplotkować w naszym polskim języku. Od Jagody dowiedziałam się, że przez sześć lat Pauliem opiekowała się jej koleżanka Ela, ale się pokłócili i Ela odjechała. Była z tego powodu nieszczęśliwa, bo straciła przyjaciółkę, z którą przyjaźniła się bardzo długo. Powiedziała mi też, że Paul nie lubi, gdy nie ma przy nim nikogo, jak się obudzi, i żebyśmy nie rozmawiała z nią długo, bo będzie niezadowolono-